

Dziewczynki z Pieczętkami

8 marca 2009

Nie pisałam za peerelu podań o papier toaletowy, ale znam takich, co pisali.

Do związków zawodowych. Które – zanim stały się samorządne, niezależne i pisane solidarycą – były nie-samorządne, zależne oraz zajmowały się zaopatrzeniem załóg pracowniczych w ziemniaki na zimę, papier toaletowy i mydło. Skoro związek zawodowy organizował wyprawę do fabryki, która produkowała papier (bo znajoma pani Krysia obiecała poza przydziałem zapełnić żuczka czy może nawet stara z naczepą tym dobrem reglamentowanym), należało tylko napisać podanie, przekonując szefostwo związków, że nam się ten papier bardzo przyda oraz należy.

Przypomniała mi ten podaniowy rytuał Dziewczynka z Pieczętkami w rejestracji placówki medycznej, działającej zgodnie z certyfikatami iso lub jakoś tak, oraz finansowanej zgodnie z najnowszymi procedurami enefzet.

– Mam w sądzie pracy sprawę z zusem – mówię do Dziewczynki. – Potrzebna mi moja dokumentacja medyczna. (W końcu muszę jakoś udowodnić, że jestem osobą cierpiącą. Na słowo mi nikt nie uwierzy, nie otake Polske żeśmy walczyli, żeby teraz wierzyć obywatelom na słowo. Należy donieść odpowiednie papiery, najlepiej w dużej ilości.)

– Ooo – powiedziała Dziewczynka z ponurą miną.

Ponieważ się tego spodziewałam, bo nie pierwszy raz noszę do zusu czy sądu pracy swoją dokumentację medyczną, powiedziałam do Dziewczynki tonem, mającym w niej wzbudzić ochotę do podjęcia działania:

– Koleżanki z rejestracji kardiologicznej zrobiły mi ksero od ręki.

– No tak – mówi Dziewczynka – ale u nas jest inna procedura. („U nas” – to jest piętro wyżej – dodam dla czytelników nieobytych w kwestiach przychodnianych.)

Na to też byłam przygotowana i mówię:

– Dobrze, dobrze, ale prawa pacjenta pani na pewno zna, mam prawo do dokumentacji własnego chorowania.

– Znam, znam. Tylko proszę napisać podanie.

Był 13 dzień miesiąca. Piątek. Pomyślałam, że wybrałam nienajlepszy czas na załatwianie spraw poważnych i urzędowych. Ale jakoś trzeba było z sytuacji wybrnąć. Więc tonem udającym nieznośną lekkość bytu wspomniałam Dziewczynce, że podania to były w peerelu – i dalej mniej więcej to, co napisałam wyżej, w pierwszym akapicie.

Dziewczynka popatrzyła na mnie jednak ze spora dozą dystansu, nawet z czymś graniczącego i dłonią wyposażoną w bordowe tipsy z gwiazdkami wskazała na ścianę przy kontuarze recepcji. Przyklejona równo taśmą samoprzylepną (o którą trudno było w peerelu), wisiała tam kartka formatu a4 z wydrukiem z komputera (o który też w peerelu było trudno). Na kartce zaś widniał tekst czcionką times 20 a może 18 punktów, treści następującej:

„Informujemy, że zgodnie z rozporządzeniem Ministra Zdrowia z 17 września 2004, Dziennik Ustaw 219 poz. 2230 & 53 i 54, kopie dokumentacji medycznej będą wydawane na podstawie podania pacjenta. Cena za jedną stronę odpisu 0,50zł.”

Wzięłam głębszy oddech, siłą woli powstrzymałam przed wydostaniem się na zewnątrz wszystkie anarchizujące i antysystemowe zdania, które natychmiast pojawiły się na końcu mojego języka i patrząc Dziewczynce w oczy wzrokiem złym, powiedziałam krótko, wyciągając ku niej dłoń bez tipsów:

– Papier!

Musiało być w moim tonie coś strasznego, ponieważ bez słowa podała mi kartkę papieru formatu a4. Na której długopisem przyczepionym do kontuaru sznureczkiem (w peerelu nie przyczepiali do kontuarów niczego, chyba że mówimy o filmie „Mis”), napisałam zdanie. Starałam się trafić w sam środek kartki (w końcu jestem redaktorem i formatowanie tekstu to mój nawyk powszedni). Napisałam, że proszę o wydanie mi dokumentacji medycznej.

Wtedy Dziewczynka zrobiła kserokopię, ja uiściłam parę groszy i nie wdając się w zawiłe kwestie kontrkonstytucyjności tego proceduru oddaliłam się z nowoczesnej placówki medycznej. Po drodze próbowałam dociec, jakież to powody mogły skłonić Ministra Zdrowia Rzeczypospolitej Polskiej do tak drobiazgowego zadbania o tryb zaspokojenia mojej potrzeby posiadania dokumentacji własnej choroby. Że nie dociekałam, bo dociec się tego nie da – wspominam tylko dla porządku.

Nie było u nas kryzysu, nie było, aż tu nagle gazety ogłosiły że jest, no więc go mamy. Grecy używali słowa „kryzys” (gr. krisis), gdy znajdowali się w momencie rozstrzygającym, punkcie zwrotnym, okresie przełomu. A w naszym czasie kryzysu – co domaga się rozstrzygnięcia? Jaki proces osiągnął swoje apogeum i musi zostać odwrócony? Co ważnego zaniedbaliśmy tak, że aż musiał pojawić się kryzys? O czym ważnym zapomnieliśmy? Co jest najpilniejsze do rozstrzygnięcia? Kiedy to zostanie rozstrzygnięte – czy będzie już dobrze? Co możemy zrobić, żeby było dobrze? I najważniejsze: o czym będzie należało pamiętać, żeby sytuacja się nie powtórzyła?

No i co teraz? – pyta socjologa z Leeds dziennikarz „Gazety Wyborczej”. Zygmunt Bauman odpowiada: „Wśród socjologów powszechna była do niedawna opinia, że tym, co ludzi dręczy w tej chwili najbardziej, nie jest niedostatek, ale przeciwnie – nadmiar możliwych tożsamości, sposobów życia, towarów upiększających życie. Udręka wielka, bo nic, co osiągnięte, nie zaspokaja w pełni, zawsze może być lepsze. I nigdy nie osiągnie się takiego momentu, że można sobie powiedzieć:

dotarłem, przybyłem, mogę usiąść, zapalić i nic więcej nie muszę robić.” Otóż ta udręka się teraz może skończyć. Nadmiar się już kończy.

Święty byłby czas kryzysu, gdyby po nim było po prostu mniej. Wszystkiego. Także pieczętek. Dziewczynek z pieczętkami. Tipsów. Oraz rozporządzeń Ministra Zdrowia RP i wszelkich innych ministrów, a także wszelkiego głupiego, niepotrzebnego i niekonstytucyjnego prawa, które produkują w naszym kraju za nasze własne pieniądze.

Drogi Kryzysie! Zgodzę się nawet napisać do ciebie podanie. Żebyś już się przewalił i żeby potem było MNIEJ.

Autor: Anna Mieszczanek

Źródło: [Obywatel](#)